Rok XVI. Maj i Czerwiec 1892. Nr. 5 i 6.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów tylko 70 cent. przesyłką 82 ct.

# MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
## TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23. dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redaktor: Feliks Lewandowski.

# Psy i ludzie.

Obrazek wschodni
przez prof. **Wagnera** (Kot-Murłyka).

## I.

Hen, daleko, po za błękitnem, południowem morzem, morzem, które starożytni poczytali za sam środek ziemi, zowiąc je z tego powodu Śródziemnem, rozciąga się afrykańskie wybrzeże, pełne skalistych wzgórz, a na tych wzgórzach, na samem wybrzeżu rozsiadło się miasto Tangier.

W mieście mieszkają Arabowie, niegdyś w starożytności jedyni prawie posiadacze wszystkich wybrzeży błękitnego morza. Ich królowie kalifowie zamieszkiwali złocone pałace w Hiszpanii i Palestynie. Byli to prawowierni wyznawcy proroka i toczyli ustawiczne walki z chrześcijanami. Dziś chrześcijanie zwyciężyli i pokazują wszystkim, jako szczególny zabytek starożytności, resztki złoconych pałaców, w których ongi zamieszkiwali kalifowie.

Niedość na tem. Dziś wszyscy *frenkowie* *) Francuzi i Anglicy, Rosyanie i Niemcy, każdy zresztą, kto tylko ma zbywa-

*) Wyznawcy islamu nazywają tak wszystkich obcokrajowców.

jący pieniądz i chęć włóczenia się po świecie, każdy przyjeżdża do Tangieru po to, ażeby zobaczyć, jak wyglądają prawdziwi Arabowie. Dla takich przejezdnych miasto pobudowało pyszne hotele, nierównie większe i pyszniejsze, niż siedliska dawnych prawowiernych kalifów.

Do miasta prowadziła długa, wąska ulica, jako tako wybrukowana kamieniem i otoczona z obu stron niskim, kamiennym murem. Równie niskie drzwiczki prowadzące do ogrodów z pysznemi palmami i pomarańczowemi drzewami, a na murach rosną agawy i kaktusy, z liśćmi i łodygami pogiętemi w najdziwaczniejsze kształty.

Co dnia prawie przechodzą po tej ulicy kawalkady podróżujących frenków, na małych, żwawych osiołkach, poganianych przez usłużnych przewodników w czerwonych fezach. Jadą wysocy rudzi milordowie w popielatych surdutach i kapeluszach, zakutanych w białe lub zielone lekkie tkaniny, jak w zawoje.

— O, yes, yes! — wykrzykują milordowie — oto prawdziwy Wschód! Oto prawdziwie wschodnia ludność! — i przypatrują się na prawo i na lewo przez lornetki i okulary.

— O, prawowierni! — krzyczą przewodnicy — umykajcie z drogi! Oto jadą prawdziwe psy frenkskie. Niech nas Allach uchroni od ich nieczystego spojrzenia!

A wzdłuż murów, po obu stronach ulicy stoją w zwartym szeregu nieszczęśliwi wschodni żebracy, wychudzeni, odarci, wyschnięci od głodu, spaleni na słońcu. Wszystko to są ludzie obcy, przybysze, nie posiadający miejsca własnego schronienia, ani kąta nawet. Przysługuje im jedynie prawo stania tu przy wnijściu do miasta przez dzień cały, ale gdy o dziewiątej wieczorem bramy zamykają się, obowiązani są ruszać precz za miasto i tam szukać noclegu.

Tam oto, obok tych drzwi stoi wysoki, piękny Arab, Al-Dżabar, w ciemnym podartym burnusie i w białej chuście na głowie. Stoi i milczy. Jego nieruchome, ciemno-bronzowe, prawie czarne oblicze, wynędzniałe i chorowite, pokrywa gruba warstwa pyłu. Same tylko oczy błyszczą gorączkowo i spoglądają uporczywie na przechodniów, wyczekując, czy też który z nich nie rzuci jałmużny dla niego, lub dla chorego brata, ślicznego chłopczyny, Abassana, siedzącego u nóg jego.

Abassan okrywa swe wynędzniałe członki grubym burnusem i ogrzać się nie może. Męczy go i rzuca paroksyzm stra-

szliwej afrykańskiej febry i nic go już nie ogrzeje, ani gruby burnus, ani nawet skwarne afrykańskie słońce!

Chłopczyna patrzy wokoło wielkiemi, iskrzącemi, czarnemi oczyma i zwraca na wszystkie strony mocno błyszczące żółtawe białka. Spogląda na wszystkich: na błyskotliwe gromady frenków, na długouszych osiołków, na błękitne niebo, co jak niezmierny namiot rozpostarło się nad ziemią, na sine morze, co skrzy się i znika w mglistem przestworzu, na wysokie palmy i jasnozielone dziwaczne kaktusy — i szkoda mu rzucić to wszystko, wszystko, do czego od tak dawna już się przyzwyczaił. A życie mami go nieprzeparcie ku sobie, czarem pociąga w swe młode objęcia! Dotychczas dało mu o tak bardzo niewiele!

Ale oto jedna za drugą mijają kawalkady frenków. Przyjechali już i kupcy z Marokko, grubi i ciężcy, jak worki pełne rupij; minęli obojętnie, mrugając ślepemi oczkami i nie drgnął ani jedem rys ich ociążałych twarzy. Odwracając się od nędzarzy i plują z obrzydzeniem.

— Psy podłe!... Wyklęci przez proroka!

Wieczór. Słońce powoli zbliża się ku morzu. A wszyscy ci głodni, oberwani, te „podłe psy“, muszą iść precz.

Żaden z nich nic nie dostał. Zapewne dla tego, że milczą i nie uprzykrzają się bogatym frenkom.

Przed samym wieczorem, kiedy słońce pod pałającą zasłoną ognistej zorzy zanurzało się już w ciche fale morza, zdala dał się słyszeć tentent i głosy, a wkrótce ujrzano dwie młodziutkie, urocze frenkskie ledi, nadjeżdżające na pysznych marokańskich rumakach.

— Popatrz, Betti! — zawoła jedna z nich. — Co za prześliczny chłopak w białym burnusie. Szkoda tylko, że taki czarny!

— Zupełnie kawowy — dodała druga ledi.

Wyjęła sakiewkę i rzuciła Abassanowi srebrną półfrankówkę. Al-Dżabar zbliżył się powoli, przyłożył rękę do głowy i piersi, nachylił się i podniósł monetę. Ledi odjechały. Al-Dżabar spojrzał dokoła i zbliżył się do Abassana.

— Chodźmy już — rzekł. — Noc zbliża się, słońce już zaszło.

Abassan podniósł znużoną głowę. Zda się, ciężkie kamienie przewalały się w tej biednej głowie. W ustach sucho. Powietrze piecze i pali.

— Daj mi wody! — wyszeptał cichym głosem.

*

— Chodźmy do domu — powtórzył Al-Dżabar — po drodze napijemy się z fontanny. — Podniósł kłaniającego się Abassanna i poszedł, zataczając się co chwila.

Wyszli za miasto. Całą okolicę dokoła pokrywają wzgórza i kotliny, w których na wiosnę toczą się fale mętnej wody. U stóp jednego skalistego wzniesienia, na rozdrożu, tryska niewielka fontanna. Fontanna ta była od dawna zaniedbaną. Woda przeciekała przez wszystkie szczeliny i tworząc strumyk, spływała dalej pośród kamieni.

Al-Dżabar posadził Abassana, zaczerpnął wody do próżnej, suchej tykwy, którą miał zawieszoną u pasa i podał ją bratu. Chory skwapliwie przytknął swe gorące, spękane usta do chłodnej orzeźwiającej czary. Wypróżnił tykwę i poprosił o jeszcze. Al-Dżabar nie pozwolił, gdyż chorym wiele pić nie wolno. Zwilżył, mu tylko głowę, napełnił tykwę, zatkał ją korkiem i podniósłszy znów Abassana, poprowadził go dalej. Ale Abassan nie może już iść. Po dwudziestu zaledwie krokach wymyka się z rąk brata i upada na ziemię.

Al-Dżabar także nadzwyżczaj zmęczony: i on i Abassan dwie doby już nic nie jedli. Z jękiem i przekleństwem pochyla się nad omdlałym i ostatnim wysiłkiem podnosi go z ziemi.

— Obejmij mnie mocniej za szyję.

Abassan machinalnie wykonywał rozkaz, a Al-Dżabar niesie go, chwiejąc się i potykając co chwila. Do miejsca pozostaje jeszcze około stu kroków. Noc zimna i wilgotna rozpościera swe skrzydła nad ziemią. Al Dżabar oddycha ciężko, brak mu powietrza. Co krok usiada, przez chwilę odpoczywa i z nadludzkim wysiłkiem dźwiga i niesie dalej umierającego. Psy i szakale, jak czarne cienie, snują się obok drogi. Noc już zupełna, gdy wreszcie Al-Dżabar przywlókł się z bratem do domu.

## II

W pośród skalistych wzgórz, w około niewielkiego, zupełnie wysychającego letnią porą jeziorka, o spleśniałej słonawej wodzie, roztasowała się cała osada. Są to właśnie siedliska owych nędzarzy, dla których wstęp do miasta na zawsze wzbroniony, lub też, którzy nie mają dosyć pieniędzy, aby się tam ulokować. W mieście wszyscy posiadają własne domy, nikt nie mieszka w wynajętym. Każdy muzułmanin chętnie przyjmuje w swoim

domu gościa-pielgrzyma, ale „podłemu psu“ za żadne skarby nie wynajmie najmniejszej nawet izdebki, najgorszego chlewka.

I owóż „psy“ te mieszczą się pod gołem niebem, w pieczarach i skalnych rozpadlinach. Od słonecznego skwaru chronią ich zasłony ze starych dziurawych burnusów, a tego, komu udało się dostać zużytą matę, uważają powszechnie za bogacza. Śpiąc wszyscy zawijają się w te same burnusy, a za podściółkę używają szorstkich liści błotnego oczeretu, a tylko niektórzy, wyjątkowo szczęśliwi, posiadają jakieś nędzne szmaty zużytych dywanów.

W około tej pierwotnej osady „podłych psów“, mieściło się drugie stado psów prawdziwych, dzikich. Te także urządzały swe legowiska w skałach, stroniły jednak od ludzi i w nocy tylko błąkały się w około ich siedlisk, wietrząc, czy też cudem jakim nie została gdzie i nie poniewiera jaka stara zatłuszczona szmata, wyssanie której mogłoby sprawić prawdziwą przyjemność.

Zresztą do takiego rzemiosła uciekały się te jedynie psiska, których lenistwa nie mógł zwyciężyć głód nawet i którym nie chciało się odbywać nocnych wycieczek do miasta.

Reszta zaś żwawszej natury, zaraz za nadejściem nocy wyruszyła do miasta pojedynczo lub parami i wałęsała się tam do rana po placach i ulicach. Psiska skwapliwie obwąchiwały każdy kącik, każdy kamyczek, lub wyczekiwały pod oknami, czy też jaka prawowierna dusza nie wyrzuci za okno resztek swego sutego obiadu. A ponieważ muzułmańska cywilizacya nie doszła jeszcze do wynalezienia rynsztoków, więc też prawowierni bez ceremonii korzystali z tej asanizacyi, jaką pełniły psie żołądki, bo asanizacya taka nic nie kosztuje.

Stado głodnych psisków, doczekawszy się zwykłego haraczu, rzuca się nań żarłocznie, gryząc się i kłócąc o każdy ochłap a wreszcie po starannem wylizaniu kamieni nawet, podąża dalej pod następne okno. Najśilniejsze i najżwawsze biegną wprost do jatek, gdzie już oczekują na ich przybycie całe kupy baranich kiszek, wnętrzności zepsutego mięsa i innych tym podobnych delikatesów.

Rozumie się jednak, że do tej uczty uprzywilejowanych należą tylko najmocniejsze, to jest, że się tak wyrazimy, sama tylko arystokracya psiego rodzaju.

W taki to sposób w każdem muzułmańskiem mieście w nocy

odbywają się psie orgie, ku wielkiemu zgorszeniu przejezdnych frenków.

Co nocy do samego rana, to tu, to tam, dają się słyszeć rozpaczliwe wycia i szczekania walczących psisków, a wyjść o tej porze na ulicę bez dobrego kija i latarni, jest istnem niepodobieństwem.

Za nadejściem jutrzenki, całe to zębate plemię, z pełnemi już żołądkami, spokojnie wraca do swych legowisk, w sąsiedztwie do owych biednych wzgardzonych nędzarzy, którzy nie mieli tej nawet pociechy, ażeby służyć do asanizacyi miasta, zamieszkałego przez ich prawowiernych braci. Z pewnością niejeden z nich zazdrościł w głębi duszy, najedzonym psiskom.

Jeden z takich psów, silny, tęgi zwierz, Chanym, z radosnem wyciem i poszczekiwaniem, wybiegł daleko przed dom na spotkanie braci. To wychowanek Abassana i najwierniejszy stróż jaskini, zamieszkałej przez obu braci. Chanym po całych dniach wiernie stróżuje około tego legowiska, po całych dniach siedzi na progu, albo też odpoczywa wewnątrz i rzuca się z wściekłem ujadaniem na każdego, czy to psa, czy człowieka, któryby się odważył pokazać u wnijścia.

Z całego stada, cisnącego się koło osady, jedyny to pies należący do ludzkiego towarzystwa. Co wieczór, kiedy panowie jego pokładli się już na spoczynek, Chanym wyruszał do miasta na zwykłe poszukiwania. Tego jednak wieczora długo musiał czekać.

Zniecierpliwione psisko próżno nastawia uszy i skwapliwie chwyta przeróżne odgłosy, dochodzące z pośród ciemności, próżno wciąga powietrze swoim spiczastym zebatym pyskiem. Kosmata sierść jego to opada, to znów się jeży i powstaje na silnym, twardym jak kość psim grzbiecie.

Wreszcie cierpliwość wyczerpana. Chanym wstaje i z cichem żałosnem wyciem rusza na poszukiwanie braci.

Na drodze spotykają się. W wesołych podskokach, skomląc i naszczekując, wita poczciwy pies swych panów, a chory Abassan, na widok przyjaciela podnosi z wysiłkiem głowę z ramienia brata i uśmiecha się także radośnie.

Po odprowadzeniu braci do domu, Chanym pędem zawraca do miasta i nie żałuje nóg, byle wynagrodzić stracony czas i zdążyć jeszcze na ucztę.

Al-Dżabar zaś dowlokłszy się nareszcie do domu, ostrożnie położył brata na nędznej pościeli, podścielił mu pod głowę nieco słomy ze swego własnego barłogu i napoił wodą z tykwy.

— A teraz spij, mój drogi! — dodał. Jutro może Allach zlituje się i ześle ci pokrzepienie. Jutro kupimy sobie chleba i sera. Pieniądze na to mamy. — Mówiąc to, z zadowoleniem dotknął palcami półfrankową monetę, starannie ukrytą w zniszczonym woreczku, przyszytym u pasa.

Następnie chwiejnym krokiem podążył do jeziorka, a raczej bagniska, mętnie bielejącego po za gęstą zasłoną nocnych wyziewów. Przełknął nieco ciepławej cuchnącej wody, dopełnił nakazanych przez koran ablucyj, zwilżył głowę i po cichej modlitwie, z oczami zwróconemi ku niebu, na którym iskrzyły się tysiące iskrzących się gwiazd, pokrzepiony na duchu, udał się na spoczynek.

W głowie mu się mąciło, ręce drżały, a jednak czuł dziwne zadowolenie, zadowolenie z tego, że jest wreszcie u siebie, że może już zakosztować spoczynku i snu. tego jedynego, a największego bogactwa wszystkich nędzarzy. Rozciągnął się więc na twardej udeptanej ziemi i zasnął jak zabity.

Abassan nie mógł zasnąć.

Nie miał nawet tyle siły, ażeby się obrócić i leżał nieruchomy na tem samem miejscu, na którem brat go położył. Z lekka tylko poruszał spiekłemi ustami i szeptał jakieś wyrazy bez związku. W głowie mu bezustannie kołują najdziwaczniejsze marzenia. Zdaje mu się, że spoczywa w jakiejś przeźroczej, srebrzystej wodzie, a woda ta, jak cienkie nici, wypływa z jego głowy.

Nici snują się wciąż szerzej i dalej, krzyżują się, plączą i rozplątują. Chwyta je chciwie ustami i schytać nie może, a usta spalone gorące rosną i puchną, nabrzmiewają coraz bardziej i robią się z nich wreszcie dwie wielkie, miękkie poduszki. O, jak rozkosznie spać na tych poduszkach. Tylko nadto gorąco!...

I cóż to widnieje po za srebrzystą, błyszczącą siatką tych dziwnych nici?... Ach, to frenkska ledi, to ledi, co rzuciła nam dziś srebrny pieniążek. Dobra ledi! Niech ją Allach strzeże!...

Raptem wszystko znika wśród gęstej czarnej mgły i Abassan słyszy w tej mgle jakieś straszliwe mruczenie. A teraz, czy to grzmot uderza i toczy się w jego biednej, zbolałej gło-

wie? Abassan stara się powstać, ale sił mu brak i znowu upada!...

Coraz ciszej i ciszej dokoła. W głowie się mąci i Abassanowi zdaje się, że go ktoś lekko kołysze na ręku. Tak dobrze, tak miło. A cudowne, jasne, srebrzyste nici snują się bez końca. Któż to jednak tak żałośnie wyje i drapie go łapą tak mocno? A jednak Abassan nie czuje wcale bolu od tego drapania; widzi tylko, że i z ręki jego zaczynają wysnuwać się na wszystkie strony śliczne błyszczące nici..

Ach to pewno Chanym zaczyna go drapać?... Czego on chce?.. kładnij się i spij!... Abassan usiłuje podnieść głowę i spojrzeć, dokąd go tak ciągnie Chanym. Co to jest? Ludzka ręka... cała skrwawiona!... Leży tu obok!... I Abassan poznaje wyraźnie, że to właśnie rączka tej ledi, co mu rzuciła błyszczący srebrny pieniążek.

Nagle znowu grzmot, walka...

To dzikie psy gryzą się pomiędzy sobą. Ach Chanymie, ratuj; nie puszczaj do mnie tych strasznych psów! Wszędzie wszędzie psy... dokoła... w powietrzu... Wszędzie ich straszne, zębate paszcze... ich dziko błyszczące oczy i

I znowu wszystko znika wśród cienkich, srebrzystych nici. Ach, jak to pięknie wygląda! Nici splątują się i tworzą lekkie, błyskotliwe, iskrzące pierścienie. Pierścienie kręcą się, kręcą i Abassan kręci się wraz z niemi, podobny do błyszczącego, srebrnego wrzeciona.. Tak lekko, tak dobrze!...

Raptem Abassan uczuwa okropny, przeszywający ból w nodze i gwałtownie szarpie ją ku sobie. Ale to mu się zdaje tylko; w istocie zaledwie poruszył palcami, dwa psy podkradają się zwolna, jak cienie i milczkiem, z cicha, po kawałku zaczynają ogryzać nogi Abassana. I znowu wszystko wokoło zaczyna wirować... szybko... szybko... Jak dobrze! Tylko powietrza brak, nie ma czem oddechać...

## III.

W mieście tymczasem odbyła się wspaniała uczta. Zebrane na placu psie stado, ujrzało nagle dwie kobiety, uciekające co koń wyskoczy przed jakimś człowiekiem w ciemnym burnusie. Koń ścigającego był silniejszy, wyprzedził więc uciekające kobiety, a człowiek w burnusie uderzył bliższą z nich jataganem. Kobieta upadła, koń pocwałował dalej.

Arab zeskoczył z konia i zbliżył się do leżącej.

Po chwili nadbiegło doń jeszcze dwóch towarzyszy. Wspólnie wzięli się do roboty. Zabrali sakiewkę, zegarek, bransolety i drogie pierścienie. Teraz już śmiało można powiedzieć, że frenkska pani poznajomiła się dokładnie z Arabami.

— Trzeba gdzie schować to ścierwo — przemówił z cicha jeden ze zbójców.

— Nie trzeba — odpowiedział również cicho drugi. — Widzisz, tam psy! Zjedzą ścierwo i śladu nie zostanie.

Istotnie, dokoła wyczekiwało już całe stado psów. Głodne psiska nastawiały uszów i żałośnie skomlały, czując zapach krwi.

Zbójcy odeszli. Psy bez namysłu, całą masą rzuciły się na trupa. W tym natłoku omal nie zadusiły biednego kulawego psinę, co także chciał uczestniczyć w podziale zdobyczy. Piszcząc umknął na stronę, a po chwili, kulejąc na trzech nogach, chciał znowu wrócić do biesiady, ale miejsca już były zajęte. Zewsząd odstraszały go mordy z wyszczerzonemi zębami.

Kobieta jeszcze żyła i z cicha żałośnie jęczała. Psiska jednak nie zwróciły na to najmniejszej uwagi. Gryząc się pomiędzy sobą, warcząc i szczerząc zęby, wzięły się żwawo do roboty. Kości zachrzęściały, a mięso, jak śnieg zaczęło topnieć pod ich ostremi zębami...

Chanym ledwie zdążył na krwawą biesiadę. Zdala już doleciał go zapach świeżej krwi. Chanym przystanął na chwilkę nie mogąc zrozumieć na razie, zkąd tu się wziął taki łakomy przysmak. Trwało to jednak ledwie jedno okamgnienie. Po chwili i on już zajadle rzucił się na trupa.

Psiska wyszczerzały zęby, ale Chanym bez niepotrzebnych ceremonij schwycił jednego z nich za grzbiet i odrzucił po za siebie. Psina grzmotnął się o mur i padł nieżywy.

Jeszcze ten nie doleciał do muru, kiedy Chanym wykonał już ten sam obrót z drugim kolegą Rzucił go wysoko w górę i kolega po dwóch nadpowietrznych piruetach, buchnął o ziemię i skowycząc, z ogonem pod siebie, zemknął w pierwszy lepszy zaułek.

Reszta biesiadujących zatrzymała się w niepewności. Wszystko to byli plebejusze, nędzne, chude, tchórzliwe psiaki, więc kiedy Chanym ścisnął trzeciego za gardziel, a czwartego tak nieostrożnie schwycił na prędce za nogę, że kość zatrzeszczała to całe towarzystwo wnet zrozumiało, że interes tu może być

bardzo kruchy i rozbiegło się na wszystkie strony. Odważniejsze tylko zatrzymały się zdala i w przyzwoitej odległości zdecydowały się czekać, chwilami tylko skowycząc żałośnie i z niecierpliwości przebierając nogami, lub też okręcając się po kilka razy na miejscu.

Chanym zabrał się do uczty z całym apetytem. Dopiero gdy pierwszy głód został już jako tako zaspokojony, a żołądek dostatecznie naładowany, przypomiało sobie poczciwe psisko o swoim panu, nieszczęśliwym, chorym Abassanie. Kochał go przecież tak szczerze, jak tylko psy kochać umieją. Na prędce tedy odgryzł prawą rękę trupa, i z tym łakomym kąskiem podążył co prędzej do domu.

## IV.

Zaledwie poranne słońce ukazało się na niebie, a już cały tabor był na nogach; każdy dokonywał ablucyi Namazu i w milczeniu brał się do codziennych zajęć.

Dwaj Arabowie zbliżyli się wypadkiem do jaskini, w której zamieszkiwali Al-Dżabar z Abassanem. Na drodze leżał trup czarnego psa. Obaj zatrzymali się w niepewności. Zkąd się tu wziął ten trup? Prawdopodobnie chore jakie psisko, zabłąkało się aż tu i zginęło. Ale pod trupem kałuża krwi. Widocznie psa zabito. Wiedziony ciekawością jeden z Arabów, zajrzał ostrożnie do jaskini przyjaciół i cicho zawołał na drugiego. Na progu jaskini ujrzeli drugiego zabitego czy zaduszonego psa.

Pies ten leżał obok skrwawionych i na pół ogryzionych nóg nieżywego już Abassana. Chanym położył obie swe łapy na piersiach zmarłego. Nie szczekał i nie rzucał się, a tylko żałośnie spojrzał na wchodzących i zawył z cicha. Obok leżała ogryziona ręka frenkskiej ledi!

Arabowie odeszli, a wkrótce straszna wieść rozeszła się po całym taborze...

Starzy i młodzi, dzieci i kobiety, wszystko to szło, biegło, spieszyło do jaskini Al-Dżabara. Cały ten różnorodny tłum krzyczał, klął, złorzeczył i giestykulował.

Al-Dżabar tymczasem spał jak zabity. Tylko Chanym spoglądał wokoło smutnemi oczyma, wył z cicha i drżał chwilami. Wreszcie zdołano obudzić Al-Dżabara.

Zbudzony spojrzał, zbladł, zadrżał, zaklął zawzięcie i chwytając leżący obok ogromny kamień, z całej siły cisnął go na

Chanyma. Pies zaskowyczał, umknął na stronę, ale po chwili wrócił znowu, drżąc na całem ciele, przytulił się do ukochanego pana i zaczął lizać jego zesztywniałe ręce. Oczywiście Chanym nie oczekiwał takiej podzięki za swoje nocne czyny. On to przecież nie spał przez noc całą, stróżując i borykając się zajadle z psami, oblegającemi ciało Abassana. Swiadczą o tem wymownie dwa trupy zagryzionych psisków. Jeden z nich leży tuż obok w jaskini, a drugi tam dalej przy drodze.

Przecież to on także przyniósł wczoraj zakrwawioną rękę frenkskiej ledi. Chanym prawdopodobnie rozumował sobie w ten sposób: „Pan mój chory; ja zjadłem kawał świeżego mięsa i to mi ulżyło, trzeba więc i pana potraktować tem samem, a z pewnością to mu pomoże“.

Arabów nie zdziwiły bardzo ani śmierć, ani straszliwy los pogryzionego Abassana; wypadki tego rodzaju powtarzają się w taborze dość często i nie należą wcale do osobliwości. Nierównie ważniejzzą kwestyę stanowiła biała rączka frenkskiej kobiety, na której wśród spiekłej krwi i błota wisiał jeszcze strzępek drogiej koronki, wtłoczony w ciało ostremi zębami Chanyma. Ta straszna ręka, to przecież niezbity dowód.

Teraz cała osada będzie musiała opłacać się muzułmańskiej sprawiedliwości. Trzeba będzie złożyć jej w ofierze wszystkie owe nędzne abazyi te biedne groszaki, zebrane od frenkskich hojnych podróżników, zebrane kosztem całodziennego nieraz pieczenia się na słonecznym skwarze, w duchocie, bez jadła i napoju.

Wprawdzie sam dowód istotnie niewiele znaczył. Rękę można wreszcie gdzieś schować. To też nie oto właściwie chodziło. Osada zrozumiała, że w mieście musiało zajść coś szczególnego, coś, za co czy tak, czy owak, osada, a nie kto inny odpowie przed muzułmańską sprawiedliwością.

Zawsze we wszystkich podobnego rodzaju nadzwyczajnych wypadkach, sprawiedliwość ta szła jak w dym do nich, do ich osady i wśród niej wybierała ofiarę zadośćuczynienia. I teraz więc każdy drżał o swoją głowę.

Z tem większą zajadłością rzucili się wszyscy na nieszczęśliwego Al-Dżabara.

Przecież to jego brat wychował tego przeklętego Chanyma. Ale Abassan nie żyje, a Chanym nie może być odpowiedzialnym. Oczywista tedy rzecz, że za wszystko powinien odpowiedzieć

Al-Dżabar. On winien, bo trzeba przecież, żeby ktoś był winnym. Krzyczano więc nad nim i przeklinano na wszelkie sposoby. Przeklinano jego matkę i ojca, i brodę jego dziada, i głowę pradziada!

Al-Dżabar słuchał i nie słyszał. Siedział milczący i nieruchomy jak mumja, ze spuszczoną na kolana głową i z zakrytą twarzą; chwilami tylko ciałem jego wstrząsał dreszcz nerwowy. W końcu już wszyscy w taborze wylali cały zapas złości na głowę nieszczęśliwego Al-Dżabara i naprzeklinali do syta. Teraz już można było rozejść się i pospieszyć do miasta po dokładniejsze wiadomości, co też tam zaszło właściwie?

Al-Dżabar wciąż siedział bez ruchu. Minęła godzina i druga nie poruszył się.

Ale oto słychać z daleka krzykliwe głosy, dolatują echa końskich kopyt, to nadciągają żołnierze. Kilku z pomiędzy nich z krzykiem i klątwami wchodzi do jaskini. Żołnierze przebrani w różnokolorowe kurtki i zatłuszczone zawoje, za pasem mają kindżały, pistolety, i żatagany a za plecami u każdego długi karabin o szerokiej lufie. Wysoki żołnierz zbliża się do Al-Dżabara i z całej siły uderza go kułakiem po schylonym karku. Wstawaj psie! Niech djabli porwą brodę twojego ojca! Bodaj napluto na grób twojej matki! Al-Dżabar zrywa się drżąc na całem ciele. Żołnierze, nie żałując klątew i szturkańców, związali mu ręce i wyprowadzili z jaskini. Nieszczęśliwy odchodząc spojrzał po raz ostatni na trupa Abassana. Sadzają Al-Dżabara na konia, przywiązują mocno do siodła a jeden z żołnierzy siada na przodzie. Następnie cała kalwakada drobnym kłusem rusza do miasta. A tabor wrzeszcząc w niebogłosy rzuca się w ich ślady. W mieście przed domem paszy zgromadził się wkrótce ogromny wrzaskliwy tłum. Wszyscy zawzięcie przeklinając Al-Dżabara wymachiwali rękami. Pasza zaś siedział pod obszernym namiotem na miękkich wzorzystych poduszkach i kurzył kaljan.

Obok paszy siedział Al-Rachim, znany powszechnie zbójca i także kurzył kaljan.

Przyprowadzono Al-Dżabara i pasza rozpoczął sąd.

Pasza rozpoczynając sąd, pytał Al-Dżabara:

— Mów, psie! przyznawaj się, podły, w jaki sposób zabiłeś frenkską ledi? Rozgniewani frenkowie będą się mścić na nas. Wszystkim się teraz dostanie. Frenkskie psy wezmą nas wszyst-

kich do niewoli. Mów, przyznawaj się, zbójco! Przeklęte niech będą dusze twego dziada i pradziada!

Al-Dżabar milczy, wie bowiem aż nadto dobrze, że mówienie tu na nic się nie zdało. Był już naprzód osądzonym. A prawdziwy zbójca siedzi tymczasem obok paszy. Wszyscy wiedzą o tem i nie dziwią się wcale. Wiadomo przecież, że Al-Rachim żyje w przyjaznych stosunkach z Tuniskim-bejem i dostarcza kobiety do jego haremu.

— U ciebie, psie — mówi dalej pasza — znaleziono rękę frenkskiej ledi. Zrewidować go zaraz! Z pewnością muszą się znaleść u niego i rzeczy, należące do frenkskiej kobiety.

Al-Dżabara rewidują, przetrząsają ubranie i nowiutka półfrankówka wypada mu z kieszeni.

— A widzisz, widzisz, psie — wykrzykuje pasza. — Zkąd masz ten pieniądz? Pieniądz ten należał do frenkskiej kobiety. To jasne jak dzień!

Tym razem pasza miał zupełną słuszność.

— Powiesić psa! wykrzyknął nareszcie. — Hej, żołnierze! Prowadzić na szubienicę tego łajdaka!...

Al-Dżabara odprowadzono na niewielki plac po za domem paszy.

Tam stała szubienica. Wszyscy ścisnęli się dokoła i zamilkli w oczekiwaniu ciekawego widowiska.

Nie minęło pół godziny, a ciało nieszczęśliwego kołysało się już zwolna w powietrzu, i ludzie do samego wieczora przychodzili, przeklinali i pluli na powieszonego.

Przyjechali też milordowie i ledi, ażeby spojrzeć na ofiarę muzułańskiej sprawiedliwości. To takie ciekawe!

Późno już w nocy, kiedy całe miasto spało, pod szubienicą zjawił się Chanym. I przesiedział tu poczciwy psisko przez całą noc, strzegąc ciała Al-Dżabara. Przesiedział ze spuszczonym łbem, wyjąc po cichu.

Zrana przyszli żołnierze. Jeden z nich schwycił kamień, zaklął i rzucił na Chanyma. Kamień głucho stuknął o chude żebra zwierzęcia. Chanym zaszczekał żałośnie, ale nie ustąpił z miejsca. położył się tylko na ziemi i przycisnął łeb do szubienicy.

Żołnierz zbliżył się z zaciśniętemi zębami, dobył z za pasa długi pistolet i wystrzałem roztrzaskał głowę Chanyma!...

## Boleść starego galernika.

Jest to drobna sobie historya, którą mi opowiadał Ywon— mój brat — pewneego wieczora, którego jeździł do portu kanonierką swoją z ładunkiem skazanych na wielki transport okrętem, właśnie w drogę odjeżdżającym do Nowej Kaledonii.

W liczbie zesłanych znajdował się galernik bardzo stary— blisko siedmdziesiąt lat mający, który wiózł ze sobą z czułością biednego wróbelka w małej klateczce.

Ywon, dla zabicia czasu, wdał się w rozmowę z tym starym, który, jak mówił mój brat, sympatyczny był bardzo — ale miał to nieszczęście, że był skuty w parę z jakimś eleganckim a wyuzdanym młodym mieszczuchem, ohydnie i rubasznie dowcipnym, noszącym szkła dla krótkowidzów, w czarnej oprawie osadzone na cienkim i długim mizernym nosie...

Stary — złodziej i rabuś z dróg rozstajnych, uwięziony piąty, czy szósty raz za włóczęgowstwo i kradzież — mówił:

— Jak tu zrobić, żeby nie kraść, gdy się już raz zaczęło i gdy się nie ma żadnego rzemiosła, nic zupełnie nic — i gdy cię ludzie nie chcą użyć do niczego?... Trzeba przecież jeść, nieprawdaż?... Ostatni mój wyrok wyrobiłem sobie kradzieżą worka kartofli, który wziąłem z pola razem z batem parobka i flaszką od wódki z tykwy zrobioną. Takie głupstwo!... Przecieżby mnie mogli pozwolić chociaż zgnić w więzieniu na miejscu w kraju, nie dopiero wysyłać takiego starca — powiada pan sam — tam gdzieś daleko, na kraj świata.

I szczęśliwy, że widzi kogoś, co go chętnie i ze wzpółczuciem słucha, biedny stary pokazywał Ywonowi co miał najdroższego na świecie — klateczkę małą z wróblem szarym...

Wróbel oswojony był i znał jego głos, przychodził mu do ręki na zawołanie. Nic dziwnego, przesło rok żył z nim razem w więzieniu, za grządkę jego ramię mając... Oho!... nie bez trudności mu przyszło zyskać pozwolenie zabrania ze sobą ptaszyny do Nowej Kaledonii!... I potem trzeba było zrobić klatkę porządną na podróż, dostać drzewa, patyczków, trochę starego drutu zardzewiałego i trochę farby zielonej, żeby pomalować to wszystko, żeby to było ładnie!...

Tutaj przypominam sobie te własne słowa Ywona:

— Biedny wróbel! Za całe pożywienie miał kawałek czarnego

chleba, jaki dają więźniom... a pomimo to wydawał się wesołym i skakał sobie po klatce jak każdy inny ptaszek.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W kilka godzin później, gdy szalupa dopłynęła do okrętu i gdy galernicy przeprowadzeni być mieli na pokład i wyprawieni w tę wielką podróż, Ywon, który o starym zapomniał, wypadkiem przechodził koło niego.

— Panie ten, weź pan to! — zawołał na niego stary galernik głosem zmienionym, podając mu klatkę. — Daruję to panu, może się panu na co przyda, przyjemność panu zrobi...

— O, nie! po cóż? — odparł, dziękując Ywon.

— Owszem, zabierzcie to z sobą; sami przecież tak chcieliście. To będzie wasz przyjaciel tam za morzami...

— O! — zawołał stary — już jego tu wewnątrz nie ma... Jakto, pan nie widziałeś? Już go nie ma.

I dwie łzy niewysłowionej boleści stoczyły się po policzkach złodzieja.

Podczas zamięszania przy przeprawie, przy kołysaniu szalupy, drzwiczki się otworzyły, wróbel się przestraszył, wyleciał i zaraz też padł na fale, bo miał skrzydełka podcięte. O, chwilo strasznej boleści! Widzieć go, jak walczy i ginie, jak niknie w bruździe ścierających się fal, a nie módz go ratować.

W pierwszej chwili instynktownie stary chciał krzyczeć, szukać Ywona, prosić o pomoc, błagać... Ale poryw ten powstrzymała rozwaga, poczucie natychmiastowe własnego upadku, własnego wykluczenia ze społeczeństwa! Któżby chciał dla takiego nędznika jak on! Któżby miał litość dla jego wróbla, któżby chciał nawet słuchać jego prośby? Czyż mógł nawet pomyśleć, czy mogło mu w głowie zaświtać na chwilę, że ci ludzie, co tu dowodzą, zechcieliby zatrzymać statek po to, żeby ratować wróbla, który tonie, wróbla galernika! To przecież nie ma sensu. Trzeba być szaleńcem, żeby przypuścić coś podobnego.

To też stał tylko długo cichy na miejscu swojem i patrzył na oddalające się coraz bardziej na pianie morskiej szare ciałko, jeszcze się ciągle bezsilnie do lotu zrywające — i gdy mu ono ostatecznie znikło z oczu, poczuł się dopiero najstraszliwiej samotnym, samotnym beznadziejnie i na zawsze, i dwie ciężkie łzy rozpaczy pustelnej i najwyższej zasłoniły mu wzrok — gdy tymczasem elegancki mieszczuch w binoklach, jego towarzysz kajdan, śmiał się do rozpuku z tego, jak ten stary płacze!....

Teraz, gdy jego ptaszyny już niema wewnątrz, nie chce on też klatki swojej, zbudowanej z taką troskliwością dla tego malca, który już nie żyje... i daje ją poczciwemu marynarzowi, który był tak dobry, że ze współczuciem jego historyi wysłuchał, i chce jeszcze pozostawić ten podarunek, zanim odjedzie w daleką i o tatnią podróż na morze dalekie...

I Ywon ze smutkiem przyjął dar, domek pusty, aby nie robić większej przykrości temu, przez wszystkich i wszystko opuszczonemu biedakowi! Przyjął, aby nie wyglądało tak, jak gdyby gardził tą drobną rzeczą, która jego tyle kosztowała pracy i taką dlań była ıadością!...

Zdaje mi się, że nie umiałem wcale oddać tego, co mi się rozczulającem wydało w tem opowiadaniu takiem, jakiem je słyszałem.

Było to wieczorem, bardzo późno i spać się już wybierałem. I ja, który w życiu bez wielkiega wzruszenia widziałem nie mało już głośnych i krzykliwych boleści, dramatów, walk i śmierci ze zdziwieniem spostrzegłem, że ta cicha i bezsilna rozpacz starca serce mi rozrywa i nawet snu mnie pozbawia.

— Możeby był jaki środek — rzekłem — posłać mu inną ptaszynę?...

— Tak — odparł Ywon — i mnie samemu także to na myśl przyszło. U ptasznika w mieście kupić mu pięknego ptaka i zawiesić mu go jutro w tej biednej klatczynie, jeżeli będzie jeszcze czas zanim odpłyną... Ale to trudna rzecz!... Tylko ty jeden mógłbyś dostać pozwolenie wypłynięcia jutro skoro świt do portu i wstępu na statek pocztowy dla odszukania wśród całego transportu starego galernika, którego nazwiska nawet nie wiem... I przyczem... wiesz co?... toby się wszystkim strasznie śmiesznem wydało...

— O!... co to, to prawda w istocie.. Żeby się wszyscy z nas wyśmieli, o tem ani na chwilę i wątpić nie można!... ale, cóż mnie to obchodzi!...

I po chwili gdy Ywon poszedl sobie, w głębi duszy mojej bawiłem się tą myślą, śmiejąc się sam do siebie tym poczciwym śmiechem wewnętrznym, którego na zewnątrz nie widać było wcale.

Jednakże zamiaru mego nie wykonałem. Nazajutrz, gdym się obudził i gdy pierwsze wrażenie uleciało, myśl moja wydała mi się dziecinną i śmieszną. Widocznie przecież, że boleść

ta nie jest z tych, które prosta zabawka ukoić jest w stanie Biedny stary galernik, sam na świecie!. Najpiękniejszy ptak z raju całego nie byłby mu zastąpił szarego wróbla z podciętem skrzydłem, wychowanego na chlebie więziennym, wróbla, który umiał rozbudzić uczucie niewypowiedzianie słodkie i łzy w głębi tego zatwardziałego serca na pół zamarłego...

*Piotr Loti.*

# PSIA DOLA.

Było to samo południe.

Z nieba się sypał żar prawdziwy, ale nawet te gorące promienie słoneczne nie mogły obsuszyć wilgotnego podwórza na Brzozowej ulicy. Wilgoć parowała ze ziemi; z rynsztoka, co płynął środkiem podwórza, wydobywały się zatrute wyziewy; otwarty śmietnik z rogu wiał zarazą. Rozdrapały go haczyki śmieciarek, szukających łupu w odpadkach, a do reszty rozdrapały kury pstrokate, szukające w tej zgniliźnie smacznego pożywienia. Na podwórzu nie rosło ani jedno drzewko, ani jedno źdźbło trawy zielonej. Wychodziło dużo okien na tę stronę, ale nie stały na nich doniczki z kwiatami, tylko schły podarte, świeżo uprane, różnobarwne szmaty. Nawet dzieci tutaj nie było, bo chętniej bawiły się na ulicy, gdzie i skórkę z pomarańczy można było znaleść czasami, i takie ładne czółenka puszczać.

Na śmietniku leżał rozciągnięty, konający duży pies. Niegdyś był on czarny, ale z latami sierść mu posiwiała na głowie, a na grzbiecie miejscami oblazła, tworząc brzydkie duże łysiny. Jego rozumne ciemne oczy zachodziły śmiertelną powłoką bielma, wywieszony język zczerniał, z boku sączyła się krew...

Przed chwilą brutalna ręka zrzuciła starego psa ze schodów trzeciego piętra. Biedne zwierzę zaskowyczało boleśnie; stoczyło się aż na dół, i pogruchotane, okaleczone, ostatek sił dobywając, doczołgało się do śmietnika i tam czekało ostatniej chwili...

Niegdyś dawno już temu — pies, pyszny terreneufe, wylegiwał się na aksamitnych kanapach w pysznym pałacu. Białe miękkie ręce kobiece tonęły w jego lśniącej, jedwabistej sierści i podawały mu zwykły pokarm na porcelanowych talerzach.

Ale to już było bardzo dawno... Białe ręce już się w proch rozsypały w wysokim murowanym grobie, na którym lśniła hra-

bioska korona — a lśniła jasno bo rodzina pilnowała jej blasku i zaciemnić je nie dała niczem.

Hrabiowska córka przypłaciła drogo targnięcie się na świetność nazwiska na honor rodu. Ona wykołysana w herbowej kolebce, usypiana opowieściami o wielkich czynach słynnych przodków swoich — pokochała się w człowieku nieurodzonym, którego ojciec był gdzieś tam podobno leśniczym. Młody doktor leczył hrabiankę i sierota w opiece u krewnych pokochała go całą swoją duszą sierocą. Zrobił się skandal. Że pokochała, to mniejsza, ale ona chciała wyjść za niego, a opiekun, jej wuj rodzony, potrzebował jej posagiem długi swego syna popłacić, by utrzymać i nadal świetność rodu.

Dziewczynę odcięli od reszty ludzi, próbowali różnych sposobów, by złamać jej wolę, nakłonić do stosownego małżeństwa. Córki wielkich rodów mają obowiązek podtrzymywać ich świetność swoim posagiem; synowie dość robią przecie, wstawiając polskie nazwiska na zagranicznych sportach.

Dziewczyna tego rozumieć nie chciała... To był obłęd, obłęd prawdziwy — to też osadzili ją w domu obłąkanych.

Gdy ją wywozili z pałacu, gorącemi łzami płakał stary sługa, co ją dzieckiem nosił na ręku. On zabrał ulubieńca panienki czarnego Alfa; a pies się do niego przywiązał jak niegdyś do pani swojej. Już nie sypiał na aksamitnych kanapach, lecz w oficynie, na twardej macie słomianej...

Kiedy hrabianka w zakładzie umarła, niedoszły mąż a dziś sukcesor, wypędził starego sługę panienki. Stary się przeniósł do miasta i tam jako tako żył, opłakując czasy dawne, z których jako żywa pamiątka został mu pies stary.

Dawny sługa umarł nareszcie. Stare psisko, sierota, rozpaczliwie wyło przez całą dobę, a zniecierpliwiony synowiec zmarłego, który się pogrzebem zajmował i pilnował, żeby kto czego nie porwał z gratów, chwycił psa za kark i silną ręką zrzucił go aż na ziemię ze schodów.

Pies podniósł oczy, zachodzące bielmem, aż na otwarte okno trzeciego piętra. Tam nie było szmat rozwieszonych, ale migotało żółte światło woskowej gromnicy...

Kury grzebały na śmietniku, jedna z nich dziobnęła psa, który zaskowyczał — ale nie miał siły jej odpędzić...

Nagle jakby prądem galwanicznem dotknięty, rzucił się

konwulsyjnie, chciał powstać, zawył rozpaczliwie jakimś dziwnym głosem — i padł bez życia.

Właśnie w tej chwili przez bramę na ulicę tragarze wynosili na czarno malowaną trumnę.

---

## Okrucieństwo — czy nauka?

Napoje spirytusowe, zfałszowane bądź witryolem, bądź innemi substancjami, zabójczo działają na organizm ludzki, ale nie mniej pewnem jest, że nawet spirytus rektyfikowany, choćby był czysty i niewinny, jak nowonarodzone dziecię, jeżeli tylko używany jest nad miarę, staje się trucizną prawie również morderczą.

Dla przekonania raz jeszcze o tej niezbitej, a tak lekceważonej prawdzie, znany w świecie uczony francuski dr. Magnan dokonał szeregu bardzo okrutnych prób na psach Do zwykłego pokarmu dodawał on im pewne dawki najczystszego, rektyfikowanego alkoholu i wywołane taką drogą objawy oraz zmiany w organizmie notował każdodziennie.

Skutki okazały się zdumiewające.

Zamknął on w wielkim pokoju kilkanaście psów i karmił ich tylko mięsem i chlebem, nasyconemi alkoholem. Zmuszone głodem, jadły, ale z takim wstrętem, że po tygodniu zaledwie najstarsze z nich, powodowane instyktem, odwracały się od tego pokarmu i trzeba było zrzec się prób dalszych z obawy, by nie poginęły z wycieńczenia. Młodsze więc tylko i żarłoczniejsze wykonywały dalej rolę męczenników nauki. Pokarm taki podawany im był dwa razy dziennie.

Szczenięta, mające od dwóch do trzech miesięcy życia, chwytały podawane im kawałki zębami i wstrząsały niemi w celu uwolnienia ich od zabójczego płynu, mimo tej ostrożności spożywały go przecież tyle, że po piętnastu lub dwudziestu minutach zaczynały chwiać się na nogach i zasypiały snem twardym.

Dawki alkoholu wynosiły od 20-tu do 60-ciu gr. dziennie. Raz na tydzień dla odpoczynku dawano im mięso bardzo mało alkoholizowane. Naczynia napełnione wodą czystą stały ciągle w pokoju.

Po dwóch miesiącach takich prób mimowolni ci pijacy doszli do niezmiernego rozdrażnienia nerwów. Niespokojne, nasłuchujące bezustannie, drżały za najmniejszym szelestem, a gdy

*

otwierano drzwi, kryły się w najciemniejsze kąty pokoju. Nie pozwalały się głaskać, kąsały podchodzące do nich osoby, a gdy grożono im biciem, wydawały przeraźliwe wrzaski.

Następnie nastąpiły halucynacye. Sądząc, że są prześladowane przez jakiegoś niewidzialnego nieprzyjaciela, szczekały gwałtownie, biegały jak nieprzytomne, z głową zwróconą w tył, kąsając w powietrzu. Za wejściem jakiej osoby cisnęły się do ściany, jęczały, wyły, drżały wszystkiemi członkami. Słowem doświadczały wszystkich męczarni, jakich doznają dobrowolni pijacy dwunożni.

Niezmiernie przykre wrażenie sprawiało patrzeć na ten narzucony upadek najwierniejszego przyjaciela człowieka, na tę męczarnię gorszą od wiwisekcji, którą pies znosi tak cierpliwie, liżąc nieraz rękę, która kraje jego ciało, jak gdyby rozumiał, że ból jego usprawiedliwić należy celem wyższym.

Po kilku miesiącach poginęły wszystkie.

Jeden usnął pod otwartem oknem i zmarzł, jak marznie podczas zimy tylu ludzi pijaków w polu pustem, lub tonie w rzece. Drugi zginął na zapalenie płuc, zupełnie tak samo jak giną alkoholicy, wśród których porażenia płuc objawiają się daleko częściej niż u innych. Trzeci w chwili delirjum, postąpił, jak czynią ludzie rzucający się z okna, t. j. uciekając przez drzwi otwarte, spadł ze schodów drugiego piętra na parter i złamał kolumnę pacierzową. Inne traciły apetyt powoli, nędzniały i po trzech miesiącach poginęły z wycieńczenia.

Również okrutnych prób i równie przekonywających, lecz z szybszym skutkiem dokonał współcześnie dr. Magnan, który zamiast alkoholem karmił psy esencyą absyntową i wywoływał zawrót głowy, epilepsję i delirjum. Koty, króliki, szczury, świnki morskie, rozmaite ptaki stawały się także ofiarami tych okrutnych doświadczeń.

---

## Chirurgiczne zdolności u ptaków.

Na jednem z ostatnich posiedzeń genewskiego Towarzystwa przyrodników zakomunikował Dr. Fatio ciekawe sprawozdanie o zdolności niektórych ptaków leczenia swych ran, dokonywania chirurgicznych operacyj, oraz bandażowania nóg wrazie ich wywichnięcia lub złamania.

Fatio długi czas oddawał się myśliwstwu we Włoszech północnych i w innych krajach i niejednokrotnie przekonał się, że niektóre ptaki, a zwłaszcza bekasy, posiadają dar leczenia ran i uszkodzeń swych członków. Za pomocą dzióba swego i piór przykładają one plastry na rany, robią kleszcze a w razie potrzeby nawet ligatury.

Zabił on raz bekasa mającego na piersiach resztki przewiązki składających się z drobnych piór wyrwanych z innych części ciała, zbitych w plaster trzymający się na ranie, za pomocą zaschniętej krwi. Innym razem zastrzelił on bekasa, który dopieroco przygotował sobie takiż plaster dla położenia go na ranie, sprawionej ziarnem śrutu.

Ale najciekawszy był ubity przez Fatio ptak ze złamaną nogą. Rozumny ten ptak przyłożyl na nią z dwóch stron dwa pręciki, pokrył je warstwą pierza i okręcił nogę listkiem. Pręciki i pierze przystawały szczelnie do goleni i trzymały się za pomocą jakiejś materyi klejowatej.

## W obronie zapoznanego wróbla.

W Ameryce utworzyła się nowa kwestya paląca, a mianowicie kwestya „wróbla“. Swego czasu sprowadzano wróble masami do Ameryki, budowano im prześliczne domki, karmiono przysmakami, gdyż zauważono, że liście na drzewach zaraz na początku lata padają ofiarą liszek. Wróble miały na to zaradzić, początkowo też potrafiły usługami swemi zadowolić i rozmnożyły się niesłychanie; w Stanie Nowy York, czy Kalifornii, wszędzie ich dzisiaj pełno. Naraz spostrzeżono, że są szkodnikami, że oprócz liszek i owadów zjadają zboże, płoszą wszystkie inne ptaki, słowem obliczono, że sprawiają rocznie milionowe szkody. W Stanie Illinois tedy wypowiedziano wróblowi wojnę i nałożono na jego głowę nagrodę w kwocie 2 centów. Wynikiem tego jest, że chłopcy w Chicago korzystają z każdej chwili wolnej, by zdobyć wróbli łepek i w ten sposób zyskać pieniądze na drobne wydatki. Stało się zatem, że nikt już nie jest pewien swego życia, czego się można było spodziewać, wziąwszy pod uwagę charakter ulicznika amerykańskiego. Wydany przepis pozwala strzelać do wróbli, począwszy od 1. grudnia r. z. przez trzy miesiące, a rezultat już obecnie tak się przedstawia: jeden mały chłopiec zabity na miejscu, 30 osób dorosłych okaleczonych w oczy ziarnkami śrutu, z tych dwie tak ciężko, że straciły po jednem oku, nadto tysiące szyb wybitych. Policya miejscowa nie kładzie bynajmniej tamy łowcom ulicznym, mieszkańcy Chicago muszą więc cierpliwie czekać upłynięcia oznaczonego terminu.

Ciekawa rzecz, że Amerykanie zdają się nie wiedzieć o tem, że już Fryderyk II., król pruski wojował niepomyślnie z wróblami, twierdząc, że są niepotrzebne na świecie, że objadają Niemców, że rozmnażają się bardzo i nie myślą wcale o emigracyi. Wydał tedy rozkaz, aby każdy obywatel, przy płaceniu podatków, złożył także przepisaną ilość główek wróblich. Otóż czego tą wojną dokazał? Po kilku latach tępienia wróbli, owady tak zniszczyły pola i ogrody niemieckie, że wiele Niemców z głodu musiało wyemigrować do Ameryki. Przez jakiś czas przestano prześladować wróbli, lecz teraz znowu tu i ówdzie w Niemczech, zaczynają na nowo prześladować go ze względów ekonomicznych. Skutek znowu będzie taki sam, jak przedtem, gdyż wróbel, chociaż sobie wezmie czasem tysiącinę zboża, gdy go głód przyciśnie, odpłaca zatem miliardami wytępionych gąsienic, albowiem anglik Bradlej obliczył, że para wróbli potrzebuje do wykarmienia swoich młodych w czasie jednego lęgu przeszło 9.000 sztuk gąsienic. Taką tedy korzyść oddaje wróbel na wiosnę, a czem się ten nierozłączony nasz przyjaciel żywi, gdy na polach i w sadach nie ma dojrzewającego zboża i wisień? o tem nikt nie pamięta!

## Ochrona sadów wiśniowych.

W ostatnich latach odznaczył się wielkiemi spustoszeniami w sadach wiśniowych, szczególnie w mieście powiatowem Guben w Brandenburgii owad zwany w języku naukowym *Spilographa Corasi*, który dla braku ustalonej nazwy polskiej nazwiemy wiśniówką.

Doktor Frank zbadał sposób jego życia w ogrodzie doświadczalnym królewskiej wyższej szkoły rolniczej, ogłosił w jesieni 1891 r. ich wypadki i wskazał środki do ochrony wisien od tego szkodnika; środki te mogą się przydać i dla nas.

W lipcu 1890 r. Frank zebrał pewną ilość gąsienic wiśniówki, umieścił je w skrzynkach napełnionych ziemią i przykrytych dzwonami szklanemi i pozostawił na całą zimę na otwartem powietrzu w ogrodzie, Gąsienice wkrótce zakopały się w ziemię, zamieniły w poczwarki i przetrwały w tym stanie, aż do końca Maja 1891. Ostatniego maja zaczęły się wydobywać z poczwarek owady skrzydlate, których liczba w początku czerwca zwiększyła się znacznie.

Czas wylęgania owadów skrzydlatych, t. j. doskonałych, zgadza się zupełnie z porą dojrzewania owoców na wiśniach; latające owady wyszukują te owoce i składają w nich swoje

jajeczka, z których wylęgają się gąsienice, zaczem idzie opadanie robaczywych owoców.

Dalsze badania Dra Franka okazały, że wiśniówka składa swoje jajeczka nietylko w wiśniach, ale i jagodach *wiciokrzewu* (*Linocera*). tylko w tym razie owady skrzydlate ukazują się o trzy dni później.

Z doświadczeń powyższych wynika, że dla ochrony sadów wiśniowych należy zbierać i niszczyć opadłe owoce, zanim gąsienice z nich wyjdą i zakopią się w ziemi, jak również okopywać w jesieni z emię naokoło drzew, a nareszcie wyrzucić z sadu krzaki wiciokrzewu, którego sąsiedztwo jest równie szkodliwe dla wisien, jak sąsiedztwo berberysu dla roślin zbożowych.

## Z Towarzystwa.

### Oddział w Nowymsączu.

Walne Zgromadzenie członków Oddziału odbyło się dnia 4 maja b. r.

Odczytane przez sekretarza p. M. Bałabańskiego sprawozdanie z 4 letniej czynności wykazało, że Wydział wybrany w r. 1888 nie tylko sam nic nie robił, ale nawet był przeszkodą działalności pewnych gorliwszych członków a szczególniej sekretarza p. Bałabańskiego, którego żelaznej wytrwałości i sile przekonania jedynie zawdzięczyć należy, że Oddział ten do dziś dnia istnieje. Zgromadzeni przekonali się, że cały ciężar pracy i dbałość o honor Stowarzyszenia przyjął na siebie sekretarz i w obec gnuśności, bezczynności a nawet lekceważenia reszty członków Wydziału, składającego się z dygnitarzy tamtejszych, — dzieła przedsięwziętego dokonał, t. z. Oddział od upadku ochronił, za co mu niniejszem składamy nasze najzupełniejsze uznanie i powinne podziękowanie.

W miejsce przestarzałego Wydziału, wybrano wydział nowy w którego skład weszli:

P. P. Erazm Cichulski em. c. i k. pułkownik jako prezes; Rudnicki c. i k. kapitan jako zastępca; Micewski kandydat adwokacki jako sekretarz; Gutkowski prof. gimnazyalny, Stuber weterynarz pow. jako członkowie wydziału.

a jako zastępcy:

P. P. Jana em. radca; Dr. Chlebowski adwokat; Dr. Mohr; Kowalski prof. gimnazjalny i Pani Rużycka nauczycielka.

# Skarbniczka polska.

(Ciąg dalszy).

**Gronostaj.** (Muste'la erminea) małe zwierzątko dłuższe od szczura, ale cieńsze, całe białe z uszkami tylko i końcem ogonka czarnemi. Znajduje się w całej Polsce po stodołach i w kupach pol nych kamieni, ale wszędzie jest trudne do dostania. Dawniej jego futro było niezmiernie drogie i nosili go monarchowie. W Polsce w wieku XIII i XIV prócz panujących używali futra gronostajowego biskupi i kasztelan krakowski. *(Star. Polska)*.

**Gronostaje.** Niedawno zabito w Płockiem gronostaja, który już bez wątpienia stał się u nas rzadkością. Skórki gronostaja (viverra erminea), tak niegdyś wysoko cenione, dzisiaj w Syberji, mianowicie w Jakucku w bliskości morza Ochockiego, kosztują tylko 5 do 8 kopijek sr., tak że cały dochód z polowania na te zwierzątka nie wynosi ośmiu tysięcy rs. W r. 1840 z samych Chin wywieziono 176.200 sztuk skórek, które zawsze tam cenią; nikt tylko tam nie śmie nosić ogonów gronostajowych, jako wyraźnie zastrzeżonych dla familii panującej. Długość gronostaja dochodzi 10 cali. Znajdują się one w całej Syberji po polach i lasach i lęgną się w wydrążonych drzewach. O ile małe, o tyle jest to żarłoczne i krwi chciwe zwierzątko; rzuca się nawet na niedźwiedzia, wciska mu się w ucho, i tak go tem zmorduje, że go o śmierć przyprawia. W ten sam sposób zabija orły i głuszce, jak tylko znajdzie je śpiące. Gronostaje łowią się głównie dla skórek, gdyż mięso ich nawet Kałmucy. dla zbytecznego odoru, odrzucają. Oprócz zaś gronostaja i łasicy (viverra siberica), najgłówniejszą rolę odgrywa na Syberyi sobol (mustella zibellina), który również wielkością swoją nie przechodzi kuny. Minęły już od dawna owe złote czasy dla handlujących temi futrami, a kiedy n. p. Tunguzy za koperak żelazny dawali tyle skórek sobolowych, ile tenże mógł ich pomieścić w sobie, dziś na miejscu para skórek sobolowych kosztuje 80 rs., za które znowu w Petersburgu płacą 170 rs. Od czasu jak sułtan turecki Mahmud cywilizując Turcję, przebrał jej mieszkańców po europejsku, cena soboli o połowę się zniżyła. Największy jednakże ruch w handlu skórkami w Syberji stanowią wiewiórki sybirskie, gdyż do samych tylko Chin wywożą ich w przecięciu corocznie do czterech milionów, do Europy zaś od 2 do 3 milionów sztuk. Za najlepsze siwe takie skórki płaci się za tysiąc sztuk 100 rs., i ta właśnie obfitość połowu stanowi, że dochód z wiewiórek daleko bywa większy corocznie, jak z każdych innych najdroższych nawet futer.

**Honiło** a także **Gonidło**, bożek. Jego znamiona były obręcz i kij. Po dziś dzień w wielu miejscach chłopy bawią się pędząc obręcz kijem i nazywają tę igraszkę *Gonidłem*. Bożek ten był także czczony i w krajach niesłowiańskich, a mianowicie w Turyngii. Przypisywano mu, iż trudnił się strażą a najgłówniej bydła; przynajmniej w pewne dni pasterz obnosił po domach kij z ręką i obrączką żelazną, a gdzie

tylko wszedł był witany; *Pilnuj Honilu! pilnuj!* Ze słowian, ile wiadomo, czcili go Sorabowie, miał u nich świątynię i kapłana. (*Star. Polska.*)

**Jastrząb**. (*Falco palumbarius*) wielkości kury, ma dziób i odrostek na nim czarniawy, pióra na grzbiecie szarawe, brzuch białawy z poprzecznemi szaremi kreskami; nad oczami kresa siwa aż do karku ciągnąca się, na podgarlu podłużne pręgi ciemne, pióra sterowo poprzecznie ciemno pręgowane, w końcu białe, nogi żółte Żywi się ptactwem, brano go za młodu z gniazda, pasiono mięsem, noszono zawsze na ręku, za gwizdaniem lub kiwaniem ręką, karmiono mięsem lub jajecznicą, na wodzie zrobioną. zawsze na ręku przy nauce, pierzeniu się, chorobie obchodzono się jak z krogułcem (patrz ten artykuł). Puszczany chwytał on kaczki, cietrzewie, a nawet dropie, ze zwierząt czworonożnych króliki, zające.

Niekiedy psom przytrzymywał młode dziki, kozy i sarenki. Używano go także do nakrywania kuropatw, a robiło się to tym sposobem, gdy wyżeł wskazał kuropatwę. Jeden myśliwy został w tyle z jastrzębiem, a drugi obszedł i stanął na przodzie Skoro tylko postawił berła, t. j. tyczkę z krokwią, nieco od siebie wyższą i świsnął, jastrząb puszczony spodziewając się na berle mięsa, przyleciał, i to nizko nad ziemią, znowu świsnął drugi myśliwiec, a jastrząb podobnie do niego wrócił. Po tych dwóch przeleceniach kuropatwy tak ze strachu do ziemi przyległy, że je nakryto siecią i jak kury z kojca brano. Jastrząb obłaskawiał się lepiej, niż krogulec, bardziej kochał łowców i myśliwców, którzy koło niego chodzili i bywał im posłuszniejszy. Zdobił on pomieszkanie myśliwca; leżała naprzód w kącie sieć, na niej spał wyżeł, a nad wyżłem na berle siedział zmróczony jastrząb. Ze wszystkich łowów z ptakiem drapieżnym, które ustały przy wydoskonaleniu strzelby palnej i prochu, a mianowicie w początkach XVIII w eku przy nakrywaniu kuropatw bo aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej. (*Star. Polska.*)

**Jesiotr** (*Accipenser sturio)* uważają go za rybę, ale w innych systematach naukowych jest gadem pływającym. Bywa niekiedy 9 łokci długi, głowę ma podłóżną. pysk pod głową mały, okrągły; bez zębów wąsików przy pysku cztery; pletwy chrząstkowate. W podłuż grzbietu jest pięć pasków łusek twardych chrząstkowatych; w średnim pasie łusek jedenaście. Mnoży się w morzu z ikry, wychodzi czasami do rzek W Dnieprze i Wiśle pojawiał się prawie corocznie, a w Warcie i innych rzekach tylko co lat kilka. Rybacy wislańscy utrzymują, że idzie aż pod ujście Sanu, i jak tylko z tej rzeki wody zakosztuje, wraca natychmiast do morza. Przez Wisłę robi swoją podróż tylko latem, przez Dniepr zaś tylko zimą. (*Star. Polska).*

**Jeziora** Zastanawiało *Gopło* obfitością ryb, których za każdym połowem, czworokonne ztąd wyprowadzono powozy, tudzież *Biała*, w ziemi chełmskiej, szerokie stawisko, w miesiącach Kwietniu i Maju wodę jak atrament czarną mające. Kto się w niej obmył wtedy, nie łatwo mógł czem bądź zetrzeć czarność z oszpeconego w ten sposób ciała. (*Maciejowski Polska*).

**Indyczka**, przemawia do jendora:
„Bida zawdy bida, — mój ty stary indu!"
A jendor szybko i grubiej bełkocze zaraz za nią:
„Za tę biedę wieczną, niech ich diabli wezmą". *(Kolberg)*.

**Indyczki** były szabelki, których używali dworscy za czasów Kazimierza Jagiellończyka *(Star. Polska)*.

**Kameduli** Wolno im jadać kaczki dzikie, nurkami i łysicami zwane, jedzą także bobry, wydry, żółwie i ryby, ponieważ te zwierzęta według naturalistów mają więcej przyrodzenia wodnego, niż ziemnego. *(Kitowicz)*.

**Kamienne w ły**. Pomiędzy Owruczem a Chwastową jest kamień podłużny, który według wyobraźni ludu pobliskiego ma wystawiać parę wołów, pług i oracza. Zgwałcenie święta uroczystego zamieniło niepobożnego człowieka, jego bydlęta i narzędzie rolnicze w ten dziwny kamień. *(Star. Polska)*.

**Karaczan krajowy** *(Blatta germanica)*, jestto owad, który na Mazowszu i Podlasiu persakami czasem prusakami zowią. Jest on wielkości chrząszcza, podługowaty, czarny, latający. Samica niesie jedno tylko jajo tak wielkie, że się równa połowie owadu. Mieszka tylko w domach i gdzie się zagnieździ, jest człowiekowi bardzo uprzykrzonym, gdyż stadami w pościel, suknie, jadło i we wszystko wchodzi lub wpada. Chłopi stawiają im na noc naczynie z wodą aby się topiły. Ten owad dopiero w końcu XVIII wieku miał się stać nad Wisłą pospolity a w niektórych krajach dawnej Polski dotychczas jest nieznany. *(Staro Polsk.)*

**Karaici** to tylko bydle uważają za nieczyste, które ma ranę i cielnej krowy nie jedzą.

Akta świadczą, że Karaita o zbrodnię przez 4 wieki nie był w naszym kraju przekonanym. Największe nagrody i postrachy nie wymogły na którymkolwiek z nich, aby był szpiegiem. Furmanka, mały handel, jest źródłem ich zysków.

**Karły i małe psięta.** Le Laboures opisując Warszawę za Władysława IV opisuje wspaniały dom marszałka koronnego Kazanowskiego w Warszawie Między innemi pisze: „co mię jeszcze więcej nad te wspaniałości zdziwiło, było dwóch karzełków stojących jakby na straży przy dwojgu psiąt tak małych, że nie przechodziły wzrostu myszy. Oboje spoczywały w małym koszyczku na usłanych poduszeczkach, woniami napchanych. Za najmniejszem ruszeniem zrywały się te psięta i szczekały z wielkim gniewem, lecz jedno skinienie karzełków, wracało je do koszyka. *(Niemcewicz)*.

**Kogut**, kur albo pietuch jak towarzysz domowy rolnika, prorok metereologiczny i zegar nowy oddawna ma niepospolite znaczenie u Słowian. Diabeł albo jaki inny zły duch, kiedy zasłyszy jego pianie, choćby najważniejszą sprawą był zajęty, zaraz uciekać musi. W wieku XV i XVI bawiono się i w Polsce walkami kogutów. Chłopcy dawali im ziele zwane włosy Matki Bożej (Adiantam Capillus Veneris) w dzień św. Gawła, w którym koguty do boju puszczali jak świadczy Syreniusz, Rusin nad Bugiem, Stryjem i Łomnicą do nowowybudowanej

chaty wpuszcza na pierwszą noc koguta i jeśli o świcie pieje, w dobrem jest postawiona miejscu, jeśli nie pieje, łatwy diabłowi przystęp. Po Rusi na Podlasiu goście weselni niosą koguta czyli Pietucha na długim drągu w pole, pieką go żywo nad ogniem ze słomy. potem stawiają na stole i podczas obiadu rozdziela go marszałek uczty pomiędzy wszystkich. Kiedy wesele idzie do dworu z kunicą przy korowaju niosą do dworu żywego koguta.

Jest starożytny na Mazowszu obrząd pod nazwą kogutek. W święta Wielkanocne gromada chłopców wiąże do dwóch kółek koguta, chodzi z nim od domu do domu, a przy skrzypcach wyśpiewuje długą piosnkę do tego obrzędu zastosowaną. W Sandomierskiem parobcy w drugie święto Wielkanocne toczą na dwóch kółkach koguta do dworu i do chat gospodarzy, a co w darze dostaną, to obracają na ucztę w karczmie. Dotąd trwa obyczaj po wszystkizh krajach Rzeczypospolitej, że chłop idąc z prośbą do dworu niesie koguta, kurę lub jaja. (Obszerniej pisze Wójcicki w dziele zapowiedzianem „Badania starożytności polskich i ruskich)." (*Star. Polsk.*)

**Kogut.** Ogień przybiera postać czerwonego koguta w powieściach. W pieśni duńskiej pieje po czerwonym zaraz czarny kogut; inna pieśń dołącza zaraz i białego. Wendowie wznosili figury krzyżowe, na których tajemnie jeszcze umieszczali kogutka O złotych kogutach na wieżach kościelnych mowa jest w wielu kronikach W 12 stuleciu zwyczaj ten istniał we Francyi a na dwa wieki jeszcze przedtem i w Niemczech. Ekhardt opowiada o wtargnięciu Węgrów, dwóch z nich wyleźli na dzwonnicę, myśląc że na niej jest kogut ze złota, i gdy jeden z nich chcąc pchnąć lancą aby go strącić upadł sam i zabił się. Węgrom zdawał się ten kogut bożkiem miejscowym, w czem umocniło jeszcze podobieństwo, nazwy ptaka z nazwiskiem św. Galla, więc opuszczają nawet przed nim z trwogi klasztor, dla tego, że kogut jest gromowładcą.

Wprawdzie kogut jako symbol czujności winien niby stróż zajmywać najwyższe miejsce, by wzrok jego mógł ogarnąć okolicę, być jednak może. że nawracający, oszczędzając zwyczaj utwierdzania kogutów na wierzchołkach świętych drzew, robili im miejsce i na wieżach kościelnych ogólne tylko nadając zwyczajowi później tłumaczenie

(*I. Grimm D. Myth.*)

**Kogut i Kura.** Jest mniemanie jakoby kogut piejąc mówił wyraźnie:

„W Krakowiem był — w Krakowiem był"

a kura mu odgdakuje

„Ale cię ztamtąd pan wyrzucił, — wyrzucił!' — (Tonie).

(*Kolberg*).

**Koń**, ukazujący się tak często w bajkach (powieściach), gadkach i przysłowiach, w nich też głównie jako istota mitologiczna figuruje.

Moc czarodziejska jaką posiadały konie odbiła się nawet we wspomnieniach ich szkieletów i czaszek.

W czasopismie Bibliot. Warsz. na r. 1841. Sierpień str. 508 p. B podaje wiadomość o powszechnym zwyczaju, zatykania czaszek

końskich na kołach (żerdziach) u płotów na wsiach naszych, uskarzają się przytem że o przyczynie zwyczaju dowiedzeć się nie mógł, gdyż w okolicy Wiślicy włościanin zapytany przezeń w ten sposób: „Mój przyjacielu, co wy w tem macie, że te łby końskie na płotach zatykacie? odrzekł mu na to jedynie! „My tam w tem nic nie mamy, ot tak sobie zatykamy, a jak jaki głupiec przejeżdża i dziwi się, to my się z niego śmiejamy". W okolicach Wisły i Skawy, w blizkości Krakowa, włościanie nie wtykają po prawdzie czaszek końskich na płoty, ale je kładą pod żłoby, dla zachowania zwierząt od zarazy. Przypisują więc czaszce końskiej moc ochraniającą zwierzęta domowe a mianowicie rogaciznę od chorób zaraźliwych

Nie z innej pewnie przyczyny ich sąsiedzi z drugiego brzegu Wisły zatykają te czaski na kołach u płotów, to jest. dla zasłonięcia swego dobytku od rarazy.

Z kapusty sterczy tu i owdzie czerep łba końskiego, by wszelki od miejsca odwrócić urok.

W Skandynawii końskie łby zatykano na żerdziach z paszczeką otwartą, drewnianemi kołeczkami obracano w tę stronę, z której wróg, któremu szkodzić chciano, miał przybyć. Czasami głowa ludzka z drzewa strugana, służyła na ten cel na kiju wbitym w piersi zarzniętego konia. Dziś jeszcze chłopi w Luneburgu, Holsztynie, Meklemburgu, mają na szczytach swych chat rzeźbione głowy końskie, jako ozdobę dachu, czasami mnóstwo tych łbów końskich, widzieć można przybitych na krzyż wzdłuż płatwy poddasza, przy facyacie domu lub na ścianie szczytowej. *(I. Grimm D. Myth.)*

**Koń rolniczy i rycerski.** W *„Ziemiańskie"* Kozmiana znajdujemy następującą alluzyę, obraz wystawiający konia rolniczego z rycerskim.

Koń kark schyliwszy wchodzi pod strzechy gościnne,
Stają mu w myśli miejsca i błonia rodzinne,
Zarżał, widząc przy jednym postawionych żłobie,
Chociaż pracą znękanych, lecz podobnych sobie,
I gdy pamięci rodu wśród ozdób nie traci,
Lichem zgrzeblem okryte liże barki braci.

(Alluzya, że stan rolniczy i rycerski razem się kochać i wspierać powinny.)

---

## Rozmaitości.

**Nieprzyjaciel kotów w wieku przeszłym.** Król neapolitański, Karol, założył na wyspie Procida bażantarnię, w której koty kilka młodych bażantów podusiły. W pierwszym gniewie rozkazał wytępić wszystkie koty na całej wyspie. Rozkaz wypełniono ściśle. Tylko jeden mieszkaniec wyspy kota swego ukrył. Zbrodnia ta została wykrytą, zbrodniarza uwięziono, batami przez hycla oćwiczono i napiętnowano w ten sposób że zawieszono mu na piersiach tablicę, z której zbrodnię jego każdy wyczytać mógł. Tak oprowadzono go po całej wyspie, a wreszcie na galery wysłano. W krótkim czasie rozmnożyły

się na wyspie myszy i szczury tak, że nawet dzieci w kołyskach zagryzały. Mieszkańcy wyspy postanowili na wielkiem zgromadzeniu ludowem, raczej wyspę opuścić, niżeli żyć dłużej pod tak barbarzyńskimi rządami. Król zniósł swój rozkaz i ukaranego zbrodniarza z galer uwolnił. Jeszcze dziś oglądać można w zoologicznem muzeum w Monasterze przechowaną rękę dwuletniego dziecięcia, którą szczury tak pogryzły, że dziecię umarło.

**Psy w Londynie.** Według wykazu policyjnego złapano w Lonw r. z. 30.678 psów. Z tych oddano do schroniska 26.692, zwrócono właścicielom 3.878, a 117 ubito.

Podatku od psów zapłacono w całej Anglii 507.282 funt. szterl. Od 111.860 psów po 5 szylingów, a od 1,051.511 psów po $7^1/_2$ szylingów.

**Dzikie zwierzęta**, a głównie tygrysy i lamparty pożarły w r. z. w angielskich posiadłościach indyjskich 2.460 ludzi i 64.500 koni i innych zwierząt domowych. W r. 1890 od ukąszenia samych tylko żmij zmarło 20.000 ludzi, chociaż w przeciągu tego czasu mieszkańcy wytępili ich około pół miliona.

**Drzewa owocowe,** sadzone w wielkiej ilości przy drogach Europy Zachodniej przynoszą znaczne zyski okolicznym mieszkańcom. Tak n. p. według wydanej niedawno statystyki w Hanowerze w r. 1890 drzewa przydrożne ze sprzedaży owoców przyniosły 270.000, w Hildesheimie 67.000, w Reitlingen 33 300 marek dochodu. W Manheimie pierwsze drzewa przydrożne posadzono w r. 1858. W r. 1868 dały one już 9.500 marek, a w r. 1878 22.000, zaś w r. 1888 36.000 marek dochodu.

**Jad wścieklizny jako lekarstwo uniwersalne.** Z Paryża donoszą, iż prof. Pasteur odkrył przypadkowo nowy środek przeciw epilepsyi, jest nim jad wścieklizny. Odkrycie to polega na spostrzeżeniach dokonanych na dwu osobach, ukąszonych przez psa wściekłego, a cierpiących na epilepsyą. Po zastrzyknięciu im jadu, którego Pasteur używa przeciw wściekliźnie, ustały u nich wszelkie objawy epilepsyi i więcej nie powróciły. Również zupełnie powiodły się próby, czynione na 10-letniem dziecku, cierpiącem na epilepsyą. Pasteur prowadzi starannie dalsze badania. Może na tem polu uda mu się jeszcze czas jakiś poblagować, bo z leczeniem wścieklizny zrobił kompletne *fiasco.*

**Prowizoryczne zabijanie i zakopywanie psów.** *Przegląd* z dn. 1. czerwca b r donosi: „Włościanie Kleparowa (niejako przedmieścia lwowskiego) chcieli jednego psa podejrzanego zabić, ale ogłuszyli go tylko uderzeniami kijów i myśląc, że pies już nieżywy zakopali go w ziemi. Pies jednak, zakopany widocznie tylko prowizorycznie i płytko, ocucił się, wydostał się jakoś na wolność i pokąsał jeszcze kilka innych psów we wsi“. Wiadomość ta, jak wszystkie inne o psach, na które poluje *Przegląd,* byłaby bardzo oburzającą, gdyby nie była tak głupio wymyśloną, a jeszcze głupiej zredagowaną.

Czy autor jej nie cierpi na manię wścieklizny, lub jaką inną chorobę umysłową?

**Poświęcenie się matki.** W Skałacie wybuchł d. 28 maja b. r. pożar, rozniecony przez dzieci, bawiące się zapałkami i w niespełna pół godziny zgorzało sześć budynków z całymi zapasami zboża. W czasie pożaru zdarzył się bardzo wzruszający fakt. Na jednym ze spalonych domów było gniazdo bocianie. Samica nie mogąc go ocalić o mając w niem pisklęta, zgorzała razem z młodemi nie ruszając się nawet z miejsca.

**Olęder i chłop z Kruświcy.** Do Bydgoszczy (nim jesze zbudowano żwirówkę) wlókł się po piasku gospodarz z parobkiem od Kruświcy, wioząc zboże na targ; zboża miał dosyć, a chetki (konie) liche. i kto wie, czyby był zboże nimi dowiózł. Ale sobie poradził. Ku niemu z Bydgoszczy, próżnym wozem, w łepskie zaprzężonym konie, jechał pijany olęder (*Hauländer*) i spał, a konie same szły. Ośmielony mocnym jego spikiem, zatrzymał konie, wyprzągł jednego i założywszy do swego wozu, kazał swemu parobkowi pospieszyć do Bydgoszczy. Sam zaś zaprzągł się do wozu tego olędra przy drugim koniu. Olęder gdy się ocknął i oczy przetarł zawoławszy: „wiu!“ nie po mału się zdziwił, kiedy ujrzał w śli (szleji) człowieka zamiast konia „Jam dobrze wiedział - odezwał się zaprzężony — że tak się stanie; byłem dawniej człowiekiem, ale za ciężkie grzechy, (żem nie miał litości nad zwierzętami i katował je), przemienił mię Pan Bóg w konia. Lata moje pokuty wyszły i Bóg mię przywrócił do pierwszej mej postaci; miejże nademną miłosierdzie, bo już dość wycierpiałem przez ten czas jak u ciebie jestem, jużeś mi biczem moje grzechy należycie odbił.“ „Jeżelić cię mam na próżno żywić, a jeszcze takiego grzesznika w domu trzymać — odpowie olęder — toć cię wolę puścić, ale pamiętaj poprawić się, abyś znowu w konia zamieniony, nie przyprawiał ludzi o szkodę.“ Smiał się chłop w duchu i poszedł, ale że był sumiennym i nie chciał olędra skrzywdzić, więc udał się z Bydgoszczy na najbliższy jarmark, pewny, że tam spotka olędra, chcącego w miejsce straconego konia, zakupić innego. Istotnie też za trzy dni, na jarmarku w Inowrocławiu, gdy chłop owego konia uwiązał na targowisku u płota, a sam się oddalił, widzi jak olęder zbliża się i poznaje swego konia. Wziął go też jak swego, chociaż był tej myśli, że za nowe grzechy człowiek ów znowu w konia przemienił się i prowadząc odgrażał się, że mu teraz nie będzie pobłażał, ale dobrze się da we znaki. Nie długo go jednak chłop w błędzie pozostawił, a zszedłszy się z nim, całą prawdę przy kieliszku opowiedział. (Podał r. 1845 Antoni z pod Kruświcy. O. Kolberg: „Lud i jego zwyczaje“.)

**Cóż na to pp. weterynarze?** W stajni p. Łozińskiego w Czortowcu dolnym padło kilkanaście sztuk bydła oraz koni na chorobę zapalenia śledziony (*Milzbrand*). Zaproszony weterynarz z Horodenki, celem zapobieżenia dalszym szkodom odpowiedział, że dotychczas nie posiada środków przeciw tej chorobie. P. Łoziński udał się do p. Beka, aptekarza w Obertynie i otrzymał od niego medycynę, a gdy zalał nią sztuki, które leżały już bez nadziei, takowe po kilku minutach już powstały, wzięły się do jedzenia i od czasu użycia lekar

stwa, wydanego przez p. Beka, żadne więcej bydło nie padło na tę chorobę.

Równocześnie wybuchła ta sama choroba na folwarku Zalesie p. Winiarskiego, w Obertynie p. Reichmana, w Kluczynie u p. Kluczyńskiego, w Kołodziejówce p Pasakasa i u gospodarzy włościan, i wszyscy środkiem p Beka bydło swoje uratowali.

Wszyscy powyżej wymienieni obywatele złożyli p. Bekowi publiczne podziękowanie w *Przeglądzie* z 17, marca b. r.

---

## HUMORYSTYKA.

**Osobliwe upodobania.** W książce kucharskiej czytamy:

„Raki *wymagają,* aby je gotowano w wodzie solonej".

„Szczupak *chętniej* idzie na haczyk z rybką, niż na wędkę z robaczkiem".

„Karasie *lubią,* aby je smażono w śmietanie".

**W szkole.**

— Powiedz mi mój chłopcze, jak długo żyć może zając?

— To zależy od tego, kiedy go zastrzelą, panie profesorze.

**Z nauki zoologii w szkole żeńskiej.**

— Niechże nam panienka powie, jakie zwierzę dostarcza nam najbardziej ciepłych futer?

Podlotek po długim namyśle:

— „Boa, — panie profesorze...

**Ogłoszenie Zwierzchności gminnej.**

„Szczepienie ospy dzieciom z cieląt, odbędzie się dnia 2. i 3. marca w Magistracie".

**Przed menażeryą.**

„Największa menażerya, dotychczas niewidziana w Galicyi. Zwierzęta bywają trzy razy na dzień karmione, na co szczególnie zwracamy uwagę nauczycieli".

**Nowa rasa.**

— Przyprowadziłem panu psa czystej rasy z góry św. Bernarda.

— Oh! jakież to wychudłe psisko. To prawdziwa rasa *Sary Bernhard.*

**Nauka poglądowa w praktyce.**

Pewien oberzysta szedł z synkiem przez pole, gdy tuż przed nimi skoczyło coś brunatnego przez drogę.

— Tatu! — zapytał ciekawy synek — czy to był zając, czy kot?

Biegły w swoim zawodzie ojciec, odpowiedział bez namysłu:

— To zależy tylko od przyrządzenia.

**Interwiew u profesora Kocha.**

Pewien reporter wiedeński opisując Kocha powiada, że ma on minę taką, jak gdyby nigdy żadnemu bacylusowi najmniejszej nie wyrządził krzywdy. Zapytany o sprawę bacylów powiedział profesor, że są to twory niezbadane

— A przecież byłeś pan już bliskim ich zbadania?

— Tak jest, skonstatowałem z wszelką pewnością że są to stworzenia bardzo złośliwe.

---

# DROBNE PTASZĘ.

(Z Alessandri'ego.)

Czegoś smutny ptaszku biały,
Powiedz, czego ci potrzeba?
Czy nie tryska zdrój ze skały,
Czyż nie przyćmił błękit nieba!

Czemu siedzisz zasępiony
Czemu zmilkły pieśni twoje?
Patrz, w dąbrowie tam zielonej,
Braci ptasząt kwilą roje!

Czemu łzy z twych oczu płyną,
Zkąd ten smutek, zkąd te żale?
Czemu biedna ty ptaszyno,
Twa piosenka nie brzmi wcale?

Ani wody brak w strumieniu
Z skały tryska zdrój bogaty;
Jak tam słodko w leśnym cieniu,
Szumi trawka, pachną kwiaty.

Drobnych ptasząt kwilą roje;
Mamże śpiewać braci śladem?
Wąż podgryza gniazdo moje,
On je strutym plami jadem.....

Sęp drapieżny krąży górą,
Gdzież mi przed nim szukać schrony?
W gniazdko wlepił wzrok ponuro,
Wnet je w twarde chwyci szpony!

*S. Duchińska.*

---

## Od Administracyi.

**Upraszamy o nadsyłanie wkładek, gdyż zaległości w drukarni wielkie.**

**Oddziały w Tarnopolu i Buczaczu upraszamy o wyrównanie rachunków za pobrane w r. 1889, 1890 i 1891 Miesięczniki.**